



KV WOLNEJ POLSCE



TYGODNIK WOJKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WCHODZIE

M. p. niedziela, 15 lutego 1942 r.

Rok III Nr. 6 (383)



Z Polski do Brygady Karpackiej

Chodzimy po obozie, jak pawie i śmiejemy się z byle czego i z byle kogo. Nie ze złości, broń Boże, ot po prostu jesteśmy szczęśliwi, o ile można być szczęśliwym wygnańcem bez własnego kraju, domu, rodziny i bliskich. A jednak jesteśmy szczęśliwi, bo jesteśmy tą niewielką grupką, która jeszcze niespełna rok temu była świadkiem okupacji krzyżackiej w naszym kraju, widziała w nim walkę podziemną, widziała postawę społeczeństwa i oprócz pragnienia odwetu i odzyskania wolności, wyniosła jedną krzepiącą ideę, wielką i zarazem prostą, zawartą w mazurku Dąbrowskiego: "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy".

Każdy, kto stykał się z bohaterskim pokoleniem w kraju, komu było dane przeżyć okupację, kto zetknął się z bezimiennym heroizmem wszystkich Polaków, bez względu na wiek, płeć, stanowisko i wykształcenie, ten wyszedł z tego środowiska pokrzepiony, wzmocniony - i to jest nasz pierwszy powód do uśmiechu i optymizmu.

Pierwszy, ale nie jedyny. Czyż może nie zdać sobie sprawę z radości człowieka, który ma świadomość, że narazie ma możliwość - po długim okresie niewoli - stanąć z bronią w rękę w regularnym oddziale wojska, na otwartym polu do walki z wrogiem, gnębającym jego kraj, i mścić się, mścić za krzywdy zadawane tysiącom niewinnych współrodaków. Jakże słoneczne są wówczas pustynne przestrzenie Egiptu, w porównaniu z podziemiami konspiracyjnej walki kraju. Wróćmy do niej wspomnieniami.

Warszawa - pierwsze miesiące okupacji. Na ulicach stolicy ponura jesień 1939 roku. Ruiny, ogonki przed sklepami, po chodnikach panoszą się żołdactwo niemieckie, jezdnią ciągną rzesze uchodźców. Na ścianach domów porozwieszane plakaty. Sypią się nakazy, obwieszczenia i rozporządzenia. To "nowi panowie władcy" odbierają każdemu ostatnią cząstkę swobody osobistej, po odebraniu wszystkim swobody zbiorowej. Oddać broń, oddać wszelkie umundurowanie, oddać zapasy kawy, herbaty, kakao, maki, oddać aparaty radiowe. Codziennie na murach ukazują się obwieszczenia, zawierające listy imienne rozstrzelanych za posiadanie broni, za sprzeciwianie się konfiskatom, za zrywanie plakatów niemieckich.

"Herrenvolk" wprowadza w ten sposób rządy "nowego ładu", polegające na skom-

plikowanym systemie złodziejstwa, terroru, przekupstwa i obłudy. Do tego przyłącza się klęska najostrzejszej zimy 1939/40 roku, z niespotykanymi mrozami, zaskakującymi pozbawioną węgla ludność Warszawy. Zdaje się człowiekowi, że wszystko obróciło się przeciw nam. Takie są zewnętrzne ramy rzeczywistości polskiej w tym okresie.

A równocześnie na przekór wszystkim przeciwnościom, coraz silniej rozpala się podziemny bunt; na murach i w skrzynkach pocztowych pojawiają się nielegalne pisma, których ton i nuta jest jedna: "Polska nie zginęła, Polska żyje, póki my żyjemy".

Dają znać o sobie pierwsze organizacje terrorystyczne i sabotażowe, pojawiają się pierwsze plakaty władz niemieckich, poszukujących za grubymi nagrodami tych patriotów polskich, którzy dali się we znaki Niemcom, a których nie udało im się schwytać.

Kraj w jarzmie rozpoczyna walkę ciłą, podziemną, niezawsze widoczną dla przygodnego obserwatora, ale za to bez pardonu i do ostatecznego zwycięstwa. I to są wewnętrzne ramy polskiej rzeczywistości pod okupacją niemiecką.

Pomimo, że ta podziemna praca, to prawdziwy, może stokroć trudniejszy front walki z wrogiem, myśl stale obraca się około tego wojska, które w otwartym polu walczy z Niemcami. Rzesze zapalonych młodzieńców dążą na południowe granice, by przedostać się do wojsk, które tworzą się we Francji. Zorganizowane drogi są już czynne.

Zima 1940 roku. W ciasnym pomieszczeniu pomiędzy strychem, a dachem słucham radia. Z trudnością łapie się pierwsze komunikaty polskie, tak skwapliwie zagłuszane przez Niemców. Całą siłą woli wsłuchiwać się trzeba, bo każde słowo polskie, złapane z eteru, każde słowo polskie z zagranicy, to skarb, który potem mnoży się w setkach egzemplarzy nielegalnej prasy na pokrzepienie tysięcy. Na falach eteru płyną pierwsze wiadomości o armii polskiej za granicą, że się tworzy, organizuje, reorganizuje. Nie bardzo możemy uzmysłwić sobie, jak ona wygląda, co robi, ile jest w niej żołnierza; najważniejsze, że jest.

Wiosna 1940 roku. Gorączkowa praca nasłuchowa, podwójna robota, aresztowania wyrwały nam paru "radiopajęcza-

rzy". A społeczeństwo żyje właśnie sukcesami Brygady Podhalańskiej w Narwiku. A potem rozgorączkowane - rozpaczliwie odrzuca wiadomości niemieckie o zwycięstwach Niemców na froncie zachodnim. Niestety, wiadomości radiowe potwierdzają wieści o klęsce. Społeczeństwo polskie nie załamuje się jednak. Twardo przyjęto wiadomość o upadku Francji.

Wszyscy natomiast chcą wiedzieć, co się stało z armią polską. Z jaką radością chwytam wiadomość, że znacznej części wojska udało się przejść do Anglii. Armia polska jest w Anglii i walczy. Entuzjazm opanowuje gnębną ludność Warszawy na wiadomość o wspaniałych sukcesach lotników polskich.

Jesień 1940 r. W walce o Anglię wspaniale zapisuje się sława naszych myśliczów. Dla konspiracyjnej armii polskiej, walczącej na froncie wewnętrznym, sukcesy oddziałów, podtrzymujących wspaniałe tradycje wojska polskiego są źródłem stałego pokrzepienia.

Coraz mi ciasniej w skrytce pod dachem. Codziennie bezsilnie obserwuję, jak bezbronna ludność heroicznie znosi upokorzenia i szykany najeźdźcy, każdy na sobie doświadcza przykre eksperymenty "Gestapo". Coraz ciasniej jest młodzieży warszawskiej. Trudno jest pracować między "łapankami" ulicznymi i aresztowaniami domowymi. Coraz to ktoś ubywa z grona najbliższych, z "organizacji". Niemiecki system coraz silniej zaciska pętlę na młodzieży. Wychodzi rozporządzenie o przymusowej rejestracji całej młodzieży męskiej; roczników 1915-1924. Rejestracja to sygnał do "wyjścia". Za wszelką cenę trzeba dostać się tam, gdzie - wiem to z radia - jest armia polska, ukazująca się wyobraźni "gdzieś w pustyni", jak fata morgana. Wczesną wiosną 1941 decyzja zostaje przyspieszona przez rewizję. Do skrytki przez ścianę pukają palce "gestapowców". Zaparłem dech przez chwilę. Przeszło. Nie odkryli. Ale adres jest już niepewny. Stary, poczciwy aparat, który był pośrednikiem tych szczęśliwych i krzepiających nas wiadomości, musi być zabrany i przeniesiony. Razem z nim, żniwa i jego właściciel, a raczej operator. W gwiezdną noc, jeszcze raz oglądam się na nielegalnie przekraczanej granicy na zasnieżone jeszcze, śpiące wzgórze Podhala. Z daleka błysk latarki patrolu niemieckiego, przyspieszony krok, skok w zasypane śnieżne. Koszmar teroru i gwałtu pozostaje za mną. Wiele miesięcy jeszcze nie będzie odstępował mnie cień niemieckiej okupacji w wędrówce przez do niedawna cieszącą się wolnością kraje bałkań-

skie. Wreszcie ostatnia granica - i już prawdziwa wolność.

Bliski Wschód. Pierwsze wrażenie, co łapie za gardło, to flaga i herb Rzeczypospolitej, błyszczący na gmachu polskiego konsulatu, herb surowo zakazany przez generalnego gubernatora i starannie zamazany wszędzie, gdzie tylko istniał na terenie polskim.

Drugie wrażenie to to, że wszyscy bez wyjątku spotkani Polacy już przy pierwszym powitaniu chcą wiedzieć wszystko o kraju, znać całą prawdę, aż do najbardziej nieznaczących, drobnych, codziennych szczegółów. Ta łapczywa ciekawość, to szczere zainteresowanie, ta chęć zrozumienia i wczucia się w warunki obecnej rzeczywistości polskiej - to wielka satysfakcja dla każdego, kto przychodzi "z za kordonu". Te objawy dowodzą, że wyraźna, wyczuwalna nie głębokiego uczucia i wzajemnej troski łączy ludzi z kraju z ludźmi na emigracji.

Ileż to razy, niemal codziennie, byłem w kraju świadkiem dyskusji i dociekania "co robią tamci", co robią i myślą nasi tam na Bliskim Wschodzie.

W kraju wie się o Brygadzie Karpackiej, wie się może nawet więcej, niż myślimy, ale ma to formę legendarną, opartą na dość krótkich wiadomościach radiowych. Codzienna rzeczywistość wojska polskiego na Bliskim Wschodzie jest nieznana. Nieznana do tego stopnia, że właściwie nie wie się w kraju, jak dokładnie wygląda mundur polski, uzbrojenie, warunki życia żołnierza. Coprawda przedostało się nieco zdjęć, ale są to zdjęcia z Anglii.

I dla tego pierwszego żołnierza polskiego, jakiego ujrzałem na ulicy Jeruzolimy, powitałem osłupiałym wyrazem twarzy i odruchowym gestem do zaskutkowania (zapomniałem, że byłem w cywilu). Niezręczny gest wypadł fatalnie i wywołał zdziwiony wyraz twarzy wojskowego. Speszyłem się nieco.

Tych wrażeń nie zrozumie nikt, kto ich nie doświadczał. Tego pierwszego wrażenia ja już dziś sam nie rozumiem, od kiedy mundur stał mi się strojem powszednim.

Warunki życia żołnierza przeszły wszystkie oczekiwania, jakie wyniosłem z kraju. Jesteśmy tu naprawdę garstką wyjątkowych wybrańców losu, mając możliwość walczyć o wielką ideę w takich warunkach życiowych. Śmiało można powiedzieć, że nie wielu ludzi w Polsce jest tak dobrze ubranych, jak my w wojsku, a już żaden na obszarze całego generalnego gubernatorstwa nie je tak, jak my z kotła.

To też dziwiły mnie skargi, czy narzekania, z którymi spotykałem się

od czasu do czasu, dziwiły, dopóki nie zrozumiałem, że wiele z nich wpływa z okoliczności, której nie doświadcza kraj, a tylko właśnie wojsko czy emigracja, t.j. nostalgii, tęsknoty za krajem, troski o swe rodziny, - żony i dzieci. Troski tem większej, że nikt w wojsku nie zdaje sobie sprawy, jak wielką opieką przez społeczeństwo otoczone są w kraju rodziny tych, którzy walczą poza granicami, jak dziesiątki nieznanymi rękami starają się ulżyć w tych ciężkich warunkach doli rodzin i z jaką tęsknotą wyczekiwane jest wojsko polskie w ojczyźnie.

Gdy jednak uświadomiłem sobie przychyny, szorstkie i twarde słowa, wyrastające z tęsknoty za krajem, nabrały również innej barwy.

Pozostała jedna świadomość, świadomość, że obie społeczności polskie, ta w kraju i ta zagranicą, wspaniale walczą o wspólną wielką Polskę. Wprawdzie walka w kraju posiada więcej cichego i ofiarnego bohaterstwa. O chło-

dzie i głodzie toczy się ona z nieznanym dotychczas nasileniem terroru, a tysiące żołnierzy na tym froncie z całym samozaparciem i odwagą składa ofiarę z swego życia w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Ale temu napięciu ideowemu kraju odpowiada na Bliskim Wschodzie dobry duch żołnierza, wiara i wszędzie spotykany nakaz moralny, że wojsko polskie na Śr. Wschodzie nie zawiedzie kraju. Kto obie strony Polski walczącej widział w kraju i na Bliskim Wschodzie, kto mógł je poznać i porównać, ten musiał dojść do wniosku, że jednej krwi i idei jesteśmy, że stanowimy wspaniałe wzajemne uzupełnienie się, i że po ostatecznym zwycięstwie żołnierz z Bliskiego Wschodu i walczący w kraju Polacy otwarcie spojrzają sobie w oczy, mocno podadzą sobie dłonie i uśmiechną się uśmiechem pełnym zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku.

Karol Piwnicki.

NIEMCY BOJĄ SIĘ SŁOWIAN.

Niemcy nienawidzą słowian, bo się ich boją nie na żarty. "Europa jest na najlepszej drodze, aby stać się wyłącznie słowiańską częścią świata" - wołał przed wojną uczony niemiecki dr Friedrich Burgdoerfer, autor książki p.t. "Aufbau und Bewegung der Bevölkerung." Otóż ów dr Burgdoerfer obliczał, że w roku 1960 ludność Europy wyniesie 600 milionów, z czego 303 miliony t.j. 51% wypadnie na słowian, 27% t.j. 160 milionów na narody germańskie, a 22% czyli 133 miliony na narody romańskie.

O ile od r. 1910 do 1930 germanie spadli w liczbie ze 152 milionów na 149, to słowianie wzrosli ze 187 milionów do 226.

Niemców ogarnia bezradna wściekłość i z tego powodu, że nie mają sposobów na zatarcie słowiańskości zagrabszonych ziem, których rzekoma, pragermańska patyna rozsypuje się przy lada naukowej konfrontacji. Oto bardzo znamieny fakt opisany przez Józefa Kisielewskiego w znakomitej książce pt. "Ziemia gromadzi prochy" - jaki miał miejsce przed kilkoma laty w Sofii, gdzie odbywał się wielki, międzynarodowy zjazd geografów.

Otóż w jednym z odczytów padło twierdzenie, że całe środkowe i wschodnie Niemcy posługują się nazwami słowiańskimi. Po referacie, z nad skłębionego mrowia zjazdowego, wystrzelił las wyciągniętych rąk: tak wielu zapisało się do głosu. M.in. zapisał się

do dyskusji jeden z wybitnych uczonych polskich dr Czekalski oraz jeden z najznakomitszych geografów niemieckich, uczony wielkiej miary i równie wielkiej sumienności.

Polak był z kolei przed Niemcem. W przeciwieństwie do innych dyskutantów nie rozwdził się szeroko, nie udwadniał, nie sypał kunsztownymi argumentami i ekwilibrystyką dowodów: wyjął z teki plik map. Nie byle jakich. Najdokładniejszych map niemieckiego sztabu generalnego. Przez pół godziny czytał równym wytrwałym głosem: nazwy. Później puścił w ruch między uczestników same dowody rzeczowe: rezultaty prac niemieckiego sztabu generalnego.

Z przeglądniętych kart wynikało nie tylko to, że Niemcy posługują się nazwami słowiańskimi, ale że połowa terenu niemieckiego, zwłaszcza zaś ziemie nad morzem leżące, aż podminowane są słowiańskością. Zapanowała konsternacja. Tym większa, że autorytet geograficzny nauki niemieckiej podniósł oczy krótkowidza z nad dostarczonych kart, potem wstał i w głębokiej ciszy oświadczył: "Herr Kollege, ich bitte mich von der Liste der Diskussionsanteilehmer zu streichen!" (Zrzekł się głosu)

Oczywiście nieraz Niemcy chcieli te kompromitujące ślady zatrzeć i wykorzenić. Ale nie tak to łatwo zamordować - słowo. Nazwa, to nie nędzne ludzkie życie. Wypuścisz krew - i życie uchodzi. Nazwa ma żywot niezłomny.

J. Kadra.

Walki Brygady 20 wyjsciu z Tobruku

W nocy z 9 na 10 grudnia 1941, bez przygotowania artyleryjskiego, II Baon uderzył na Pas el Medauar od południa, a III Baon nad ranem - od północy. Wreszcie nasza zmora - Medauar została zlikwidowana.

I Baon jako c.w. o świcie 10 grudnia poszedł przebijając wyrwę w pozycji włoskiej między White Knoll, a szosą na Derne, wraz z carrierami wszystkich baonów pod ogólnym dowództwem płk. P. Wyrwę zrobiono, poczem pułk ułanów poszedł w pościg za nieprzyjacielem do Acroma, gdzie już jednak spotkał czelgi dyw. hinduskiej. III Baon zdobył kilkadziesiąt motocykli, stojących na tyłach Medauaru z zapalonymi silnikami (!). Dopiero teraz po blisko 3 miesiącach (od 3 października) obserwowania z dali wzgórza Medauar mogliśmy postawić nasze stopy na jego szczycie. Wchodziliśmy nań jednak ostrożnie, ze względu na gęsto rozsiane miny własne i nieprzyjacielskie. Dopiero teraz też żołnierz mógł rozprostować się w swoim wnętrzu strzeleckim; co do tej pory mógł wykonywać tylko w nocy. Dnia 10 i 11 grudnia wojsko wypoczywało i w miarę możliwości i posiadania odpowiedniej ilości wody "opierało się".

W piątek 12 grudnia zarządzono przygotowanie marszowe, a po południu wymarsz. Wobec braku wozów część sukcesji po Australijczykach: bronie i t.p. musieliśmy zostawić. Na kierowców wozów poszli szoferzy z oddziałów, okazało się jednak, że w tym czasie wyszli "trochę" z wprawy, siedząc kilka miesięcy w linii, wskutek czego nie obyło się bez wypadków po drodze i spadania wozów ze szkarpy. W nocy z 12/13 grudnia Brygada stanęła w rejonie El Adem z zadaniem ochrony lotniska, składów i samej miejscowości od południa i połudn.-zachodu.

Dobrze, że amunicja i konserwy są w drewnianych skrzynkach, bo tylko dzięki temu można było przygrzać konserwę i ugotować herbaty z naszej słynnej tobruckiej wody.

O 14-ej dnia 13 grudnia wyszliśmy z El Adem przez Acroma (szosą, opływającą Tobruk w kierunku na zachód.

Na noc z 13/14 Brygada stanęła w pustyni w rejonie na południo-zachód od Acroma, ugrupowując się obronnie od południa i zachodu.

W południe 14 grudnia nakazany został marsz w ogólnym kierunku na Ain el - Gazala, podany punkt przejścia według mapy i.t.d. Pięknie to wyglą-

da na mapie, w praktyce jednak w walkach pustynnych nie zawsze można ustalić, gdzie się jest i gdzie trzeba maszerować. W terenie brak jest punktów, ułatwiających możliwość orientacji. Istotnie okazało się, że poszliśmy nieco na północ od nakazanej osi marszu - szczęściem trafiliśmy na Nowo-Zelandczyków, którzy nas zorientowali, gdzie jesteśmy i gdzie należy iść. Najważniejszym sprzętem w pustyni okazała się busola, bo tylko dzięki niej można w ogóle trafić w pożądanym kierunku.

Zdarzyło się, że otrzymałem rozkaz wyjazdu do dowództwa 5 Brygady Nowo-Zelandzkiej po sytuację własną i nieprzyjaciela. Wybrałem sobie mniej więcej punkt w terenie, gdzie jesteśmy i ruszyłem na kąt 55. Zanim odrysowałem sytuację, zapadła noc. Jadąc z powrotem na odwrotność kąta, dzięki szczęściu, nosowi i pomocy busoli trafiłem z powrotem kosztem tylko dwóch rezerów u samochodu. O jeździe motocyklem w pustyni i to w nocy w ogóle nie ma mowy, bo już po kilkudziesięciu minutach karter rozbija się na kępach ostów i kamieniach.

Zimno jest przenikliwe. Chciałoby się napić czegoś gorącego. Owszem skrzynki od konserw są, możnaby ogień zapalić, bliskość nieprzyjaciela nie pozwala jednak na rozniecenie ogniska.

Obrazowi pustyni w okolicach Tobruku nie brak malowniczości. Trzy szkarpy tarasowate opadają ku morzu. Z trudem jednak oko szukało zieloności. Chyba gdzieś w zacisznym wgłębieniu bohatercko trzyma się samotne drzewko figowe. Nad samym morzem w wąwozach kilka palm opiera się wiatrom pustynnym. Poza tym, gdzie okiem sięgnąć, piasek, wystające kamienie i tylko gdzie niegdzie kępy ostów, tak dotkliwie dające się we znaki resorom samochodów. W dalszym marszu trzeba było być obdarzonym dużą wyobraźnią, by móc np. stwierdzić, że ten gdzieś tam ledwie widoczny pagóreczek jest punktem 185 czy 191.

Smutny i beznadziejny jest krajobraz pustynny. Gdybyśmy więc do walk pod Gazalą przyszli gdzieś z obców, położonych w pobliżu kultury, nastrój nasz byłby chyba nieświeży. Ale po Matruh, Sidi Hanisz i Tobruku człowiek cieszył się już choćby dlatego, że wreszcie jest w ruchu, że gdzieś idzie, że może walczyć, że może zdobywać sławę nie bacząc na możliwą śmierć, czy rany.

W nocy, pomimo posiadanych czterech koców na głowę i płaszcza, wojsko trochę marzło. Spało się gdzie popadło, a tylko wysunięte patrole pilnowały porozrzucanych w terenie obozowisk i ludzi.

Marsz na podstawę wyjściową do natarcia nakazany został przed południem, a natarcie, rzecz nie do pojęcia dla ludzi nie znających walk pustyńnych, przeprowadzono "na kąt 315" wg busoli (dla laika: na kierunek północno-zachodni). Już na podstawie wyjściowej dawał się odczuć bardzo silny ogień artylerii nieprzyjaciela. Ale wojsko tym się nie przejmowało. Nie był to już jego kłopot, lecz sanitariuszy.

Gdyby nieprzyjaciel miał więcej inicjatywy, mógłby bez większych strat całą naszą Brygadę "wyfasować". Na lewym skrzydle bowiem, na wzgórzu 208 (Alem Hamza) siedzieli Niemcy, ze wzgórza: 196, 192, Got en Naghia dawał się odczuwać silny ogień boczny, wskutek czego II Baon musiał chronić natarcie I-go i III-go Baonu z lewego skrzydła. Nietylko zatem nacieraaliśmy, ale musieliśmy zabezpieczać boki. Gorzej było z zaopatrzeniem naszej artylerii w amunicję, która była aż w Tobruku. My zaś, pod Gazalą mieliśmy tak mało środków transportowych i tak ciężką drogę do Tobruku, że artyleria nasza nie mogła nam dać takiego wsparcia ogniowego, jakiego natarcie wymagało.

Wieczorem 15 grudnia I Baon zajął nakazany rejon umocnień Carmuset er Regem, III Batalion, nacierający w lewo od pierwszego, ze względu na silny boczny ogień broni maszynowej i działek Breda, - zajął już o zmroku pierwsze linie tejże szkarpy. Tu dopiero okazało się cośmy zdobyli: Wnęki strzeleckie na 2 m. głębokie, omurowane płaskimi kamieniami z bardzo gęstą siecią stanowisk broni maszynowej i broni ppanc. - pozycje niewątpliwie przygotowywaną i umacnianą od kilku miesięcy. Stały tu dwie, może najlepsze, dywizje włoskie "Pavia" i "Trento" - nasi starzy znajomi z drugiej strony Medauaru. Rozbite zostały zupełnie.

Pozycje pod Gazalą Włosi uważali za nie do zdobycia. Jency Włosey, zabrani do niewoli, zeznawali, że nikt z nich nie wierzył, by bez poparcia czołgów można było natarcie przeprowadzić skutecznie. W czasie walki sądzili, że to chyba, jak zeznawali, "duchy" idą, a nie ludzie. Przecież strzelali ze wszystkiej posiadanej broni maszynowej, a Polacy szli nieustannie na przód, jak na manewrach!

W czasie polskiego uderzenia jeden z naszych oficerów dostrzegł po stro-

nie włoskiej jakiegoś ciemnonocnego alianta w turbanie, który, wyrwawszy Włochowi karabin, przebił go - jego własnym bagnetem. Za chwilę drugi i trzeci. Okazało się, że to Hindusi, wzięci niedawno przez Włochów do niewoli, korzystali ze sposobności, by odwdziaczyć się Włochom za nieproszoną gościnę.

Noc z 15 na 16 grudnia spędził żołnierz w zajętych stanowiskach włoskich. Niestety nie wszyscy ...

Oczywiście o ugotowaniu, czy podwiezieniu ciepłej stawy mowy nie było. Z noclegiem też nie było świetnie, bo do włoskich zawieszonych koców żołnierz czuł wstręt, marzło się więc na zimnie, no ale przecież to wojna...

Rankiem 16 grudnia, dowódcy baonów i kompanii zorientowali się w miarę możliwości w terenie, uporządkowali oddziały, starając się o zaprowiantowanie. Artyleria włoska rozpoczęła bardzo silny ogień, wstrzeliwując się w swe dawne pozycje, dziś zajęte przez I Baon. Trzeba więc było wyprzeć Włochów, złamać ich do reszty, aby uniknąć niepotrzebnych strat. Zaraz popołudniu 4 kompania III Baonu wraz z wszystkimi posiadаныmi carrierami batalionowymi uderzyła na rozwidlenie dróg 157.

Niezapomniany był to widok, gdy carryery w pełnym biegu przeskakiwały pędem pozycje włoskie. Zamiast po dwóch siedzących w carrierze jechało po 4 ludzi, stojąc. Pochylali się tylko raz po raz, by podjąć z podnóg po 2 granaty, wyrwać zębami zapalniki i rzucić je na stanowiska nieprzyjacielskie. Akcja była tak szybka, tak niespotykana w swym rozmachu, że da się chyba porównać z najpiękniejszymi czynami naszej kawalerii. Właśnie tej szybkości decyzji, odważności wszystkich naszych żołnierzy, biorących udział w akcji, zawdzięczamy wykonanie natarcia, które było niewątpliwie ryzykowne. Uderzenie hinduskie na Alem Hamza, gdzie usadowieni byli Niemcy, załamało się przecież. Nasze jednak musiało się udać! - przecież nasz II Baon strzegł lewego skrzydła natarcia. Nie można powiedzieć, by Włosi stosowali gentlemanские metody walki. Do dwóch carrierów II Baonu, które podjeżdżały pod pozycje włoskie na Got en Naghia Włosi zaczęli powiewać jakimiś białymi szmatami. Tymczasem, gdy jeden z carrierów zbliżył się do nich na jakieś 30 m. Włosi otworzyli zdradziecko bardzo silny ogień z broni maszynowej, zranili całą załogę, a następnie poczęli do wozu miotać butelki z benzyną, wskutek czego ogarnęły go płomienie.

Przeegrana Włochów była coraz wyraźniejsza. Już wieczorem 16 grudnia dał się zauważyć z rejonu Alem Hamsa i wzgórz 196, 192 odpływ nieprzyjaciela na północno-zachód, wobec czego o świcie 17 grudnia dowódca Brygady zarządził pościg drugim batalionem za nieprzyjacielem cofającym się w kierunku na szosę, aż do km 95 od Dery. Teraz dopiero wojsko użyło sobie! Znalazły się magazyny włoskie, a w nich czekolada, skrzynie cukierków, soki, papierosy, konserwy mięsne z jarzynami, no a przede wszystkim konserwy z kiszoną kapustą. Zaczęło się używanie. Na "stole" żołnierskim bigos miał pierwsze miejsce. Niestety za kilka dni pozostało o nim już tylko wspomnienie.

Nietylko zatroszczył się nasz żołnierz o jedzenie. O napitku nie należało też zapominać. A nie sprawiało to żadnej trudności. Z takim trudem po raz drugi zaopatrzone magazyny włoskie znalazły się w naszych rękach. Wina włoskie są niezłe. Ale między winem a winem jest też wielka różnica. Nasi znawcy mieli tu wspaniałe pole do popisu. Oto pewien ogniomistrz z patriarchalną brodą chodził od beczki do beczki (a niektóre miały po 1000 litrów) z długim węzłem gumowym wkładającym do otworu beczki, próbował i wyrokuje

- to trochę za cierpkie,
 - ńm, ńm!
 - zobaczymy dalej,
 - hm, nhm, tak, to lepsze ...
 - o, to wcale niezłe! - Józek natocz no parę baniek tego likwioru!!
- No i próbowało się.

Jeńcami włoskimi prędko przestano się interesować. Pętało się tego po szosie całe chwary. Idzie taka gromada Włosiąt i błagalnie wyciąga ręce do góry. Ktoby się tam tym interesował, wskazało się im tylko kierunek, gdzie mają iść, by zgłosić się w kancelarii żandarmerii Brygady. Ważniejsze miano sprawy na głowie, niż "fasowanie" Włochów.

Operacyjnie, uderzenie Brygady na Gazala otworzyło drogę aż do Benghazi, z której nasi sprzymierzeńcy nie omieszkali skorzystać.

Tymczasem zaczęło się już wojsku nudzić. Zdobyli pozycje pod Gazalą - pięknie, "nafasowali" Włochów (około 1.700) - dobrze, zdobyli masę broni i amunicji, magazyny - ślicznie!, ale co lepsze rzeczy (z jadalnych) już się zjadło. Trzeba wracać do "corned-beefu" z cebulką i ciepłej półsłonej herbaty. Trzeba również wrócić do zwykłych, monotonnych zajęć, jakie zawsze są pomiędzy działaniami i marszem. Przejrzeć broń, przejrzeć własne oporządzenie, coś niecoś naprawić.

 Cóż jeszcze wspomnieć? Na pozycjach przyszedł niespodziewanie dzień wigilijny. Trochę się bractwo rozkleiło. Dowódca Brygady objechał wszystkie oddziały, podzielił się opłatkiem, ucałował dowódcę i najmłodszego żołnierza w każdym oddziale, złożył życzenia spędzenia następnej wigilii już w Polsce i wzywał do dalszej tężyzny i wytrwania ... Niejednemu bohaterowi łza się w oczach zakręciła, gdy Generał przemawiał. Przyszła noc wigilijna. Tam, gdzie się dało odbyły się pasterki w oddziałach, a nawet poprzystrajano choinki z anemicznych fig, poprzybieranych wata i włoskimi zdobycznymi cukierkami. Gdzieś tam zaczęto nucić kolędy. Myśli odbiegły od pola walki, przeniosły się do dalekiego Kraju, do najdroższych ...

 Wojsko wszakże jest dobrą szkołą charakterów. W tak trudnych warunkach pustynnych, tak daleko od Kraju i swych najbliższych, ludzie trzymają się mocno, tak się wiara żyła, tak się bractwo wzajemnie wspiera, że tworzy naprawdę jedną rodzinę.

 Niedługo na piaskach Cyrenajki zostanie po Polakach tylko wspomnienie. Ale ślad zostanie nietylko w kronikach pułkowych. W Tobruku pozostanie polski cmentarz, który będzie po wieczne czasy mówił, że tędy szedł żołnierz polski długą twardą drogą Ku Wolnej Polsce ...

Na cmentarz ten przewieziono też zwłoki Kolegów poległych w walkach w dniach 15 i 16 grudnia pod Gazalą.

por. M.



SKUTKI GOSPODARCZE ZAGROŻENIA STRATEGICZNEGO

Propaganda niemiecka głosi, że winowajcą dzisiejszej wojny jest traktat wersalski, ponieważ skrzywdził niewinny naród niemiecki, a gniotąco na ciasnym obszarze Rzeszy, wytworzył olbrzymią prężność, która musiała doprowadzić do wybuchu.

Zaletą powyższej tezy jest jej łatwe oddziaływanie na wyobraźnię. Wadą zaś jest zupełna kłamliwość całej części drugiej. Jak bowiem wygląda osławiona "krzywdą" Niemiec? Winowajcy wojny wyszli z niezniszczonym przemysłem, nie zapłacili odszkodowań, a już po wojnie 1914-1918 r., zwłaszcza w latach 1926-1928 otrzymali wielomiliardowe kapitały, zwłaszcza amerykańskie, które im pozwoliły potężnie rozbudować życie gospodarcze. Wiemy, że w rolnictwie odczuwali już brak rąk do pracy. Stąd ich starania o zwiększenie polskiej emigracji sezonowej. Gdyby nie nadmierne zbrojenia, mogli utrzymać wysoką stopę życia ludności i nie ich nie zmuszało do napaści na uboższego sąsiada, który z o wiele większą słusnością mógłby się domagać powiększenia "przestrzeni życiowej".

O ile druga część tezy niemieckiej nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, w zamian można się zgodzić z częścią pierwszą. Duża część winy leży po stronie twórców i wykonawców traktatu wersalskiego. Nie dlatego, jakoby zbyt ograniczyli Niemcy; ale że umożliwili im prędką odbudowę potęgi militarnej, z którą u tego narodu łączy się zawsze chęć rabunku. Zarazem - że dali Polsce obszar i granice, stanowiące o jej zagrożeniu strategicznym, co oczywiście zachęcało do napaści.

Coprawda, pokutował u nas frazes, że położenie w środku Europy oraz długie i otwarte granice lądowe, trudne do obrony, dają wzajemnie wielkie korzyści gospodarcze, ułatwiając wymianę z sąsiadami. Gdyby tak było, moglibyśmy wygospodarować środki na zabezpieczenie granic i odpowiadające napiętej sytuacji wyposażenie sił zbrojnych. Przyjrzyjmy się jednak, jak wyglądała rzeczywistość.

Rozległe wspólne granice o tyle stanowią ułatwienie wymiany, o ile inne warunki umożliwiają jej rozwój do rozmiarów trudnych do pomieszczenia na węższym odcinku granicznym. Tymczasem sąsiad wschodni prowadził gospodarkę izolowaną, ograniczając swe obroty z rynkami obcymi. Widomym zna-

kiem niedostatku wymiany towarowej polsko-rosyjskiej było utrzymywanie w stanie nieczynnym niektórych linii kolejowych, łączących oba kraje. Z sąsiadem zachodnim od 1925 do 1934 r. znajdowaliśmy się w stanie wojny gospodarczej, a wybudowany w tym okresie port w Gdyni pozwolił na doprowadzenie do kierowania 3/4 całego wywozu drogą morską. Z Litwą, jak wiadomo, nie mieliśmy prawie żadnych obrotów, z Rumunią - nadér skromne. Korzyść więc z posiadania długich i otwartych granic pozostawała w dziedzinie możliwości nigdy nie zrealizowanych. Zato gospodarcze skutki ujemne odczuliśmy w sposób aż nazbyt rzeczywisty.

Pierwszym z nich są zniszczenia wojenne. Jeżeli od tysiąca lat każde w przybliżeniu pokolenie musi prowadzić niszczące walki obronne, to byłoby naturalnością uważać skutki wojen za niebywały przypadek, którego się nie bierze w normalną rachubę. Należy sobie zdać sprawę, że wynikające z naszego położenia geopolitycznego i charakteru granic niszczenie wielkiej części pokojowego dorobku kraju co lat kilkadziesiąt jest jedną z ważnych przyczyn, dla których nie byliśmy w stanie tak się zagospodarować, jak kraje bądź leżące na uboczu od źródeł wielkich konfliktów (np. kraje skandynawskie, W. Brytania), bądź toczące wojny zaborcze na obcych terenach (Niemcy).

Zniszczenia wojenne nie tylko wówczas przynoszą szkody, gdy już rzeczywistość nastąpiła, ale także wtedy, gdy ich obawa wisi w powietrzu. Jednostki i ciała zbiorowe zastanawiając się nad sposobem zużywania swych dochodów, ulegają wpływowi nastrojów niepewności. Jasne jest, że obawa zniszczenia zniechęca do trwałych nakładów, skłania raczej do szukania doraźnego efektu lub przyjemności, niż do budowy dla prawników. Stąd może i w naszym charakterze narodowym tak mało kultu dla tradycji, niechęć do przewidywań, skłonność "dojutrkowania", wyrażona syntetycznie w nieszczęsnym przysłowiu "jakoś to będzie".

Dalszym oczywistym skutkiem gospodarczym zagrożenia granic jest konieczność ciągłego pogotowania zbrojnego, a więc dotkliwe obciążenie gospodarstwa narodowego. Kraje mniej zagrożone, albo bogatsze, mogły przeznaczać na cele obrony 1/10 do 1/6 części swych budżetów - w Polsce oka-

zale się nie wystarczające wydatkowanie na ten cel ponad 1/3 ogółu wydatków państwa i przeważnej części kredytów inwestycyjnych, a przecież jest to ciężar olbrzymi. W latach kryzysów gospodarczych wydatki na obronę nie mogą być zmniejszone, więc ich rola jeszcze stosunkowo wzrasta. Inni mogli przeznaczać duże środki na budowę przemysłu, dróg, domów, na melioracje pól, czy inne formy wytwarzania kapitału produkcyjnego. My musimy zużywać nasze środki na wciąż jeszcze niedostateczne zastąpienie naturalnej obronności naszych granic. Cóż dziwnego, że brak kapitału wciąż był ważną przeszkodą powiększenia wytwórczości kraju, posiadającego obfitość rąk roboczych, dla których brakuje warsztatów pracy.

Niedostatek własnego kapitału może być niekiedy zastąpiony przez dopływ środków zagranicznych. Kanada, Argentyna i wiele innych krajów potrafiły znakomicie się zagospodarować przy pomocy obcego kredytu. Aby jednak obcy kapitał stał się dodatnim czynnikiem w rozwoju własnego życia gospodarczego kraju, musi to być kapitał zdrowy, poprzestający na umiarkowanym zysku, widzący własną korzyść w pomysłowości kraju, w którym pracuje. Czy jest dziełem złośliwego przypadku, że taki kapitał starannie unikał lokat w Polsce? Nie naturalniejszego: gdy polski Skarb albo przedstawiciel polskiego życia gospodarczego zwracał się do wielkiego konsorcjum finansowego np. w Nowym Yorku, dyrektor tego ostatniego zastanawiał się, czy będzie mógł łatwo rozsprzedać obligacje nowej pożyczki. Rzut oka na mapę wskazuje, że nie będzie to łatwe: nowy klient, nie znany na rynku, nazywany przez najbliższego sąsiada "państwem sezonowym", ma kształt dziwaczny i olbrzymią, otwartą granicę, trudną do obrony. Już przed wojną jest otoczony. Jego najważniejszy obszar produkcyjny jest w zasięgu nieprzyjacielskiej artylerii. Dostęp do morza z łatwością może być odcięty. Poważny finansista nie może

uważać papierów takiego kraju za dobrze zabezpieczone. Albo więc odmawiał kredytu, albo zgadzał się na udzielenie niewielkiej pożyczki na bardzo uciążliwych dla dłużnika warunkach. Do normalnego oprocentowania doliczał premię za ryzyko. W praktyce wyglądało to w ten sposób, że kiedy kraje "bezpieczne" płaciły od pożyczek zagranicznych najwyżej 6%, Polska nie mogła ich otrzymać poniżej 9%, licząc wszystkie koszty. Jest to różnica olbrzymia. Ponadto w czasie, gdy do Niemiec płynęły miliardy dolarów, najwyższa pożyczka jaką nam się udało otrzymać (stabilizacyjna w 1927 r.) wyniosła 80 milionów dolarów nominalnie, faktycznie zaś - nieco mniej. A brak i drożyzna kapitału - to wysokie koszty produkcji, to drogi towar, niemożność wytrzymania współzawodnictwa światowego i mała pojemność rynku wewnętrznego. Warunki geopolityczne nie były jedyną przyczyną tego stanu rzeczy, ale śmiało mogą być uważane za jeden z głównych hamulców rozwoju gospodarczego Polski.

Pocóż dziś przypominać te trudności? Oto dlatego, że wykazując błędność koncepcji traktatu wersalskiego, stanowią one ważną naukę na przyszłość: kto nie chce rychło nowej wojny w Europie, musi popierać słuszne żądania Polski, zmierzające do uzyskania obszaru i granic, któreby znacznie zwiększały nasze bezpieczeństwo zewnętrzne.

Samo położenie sprawia, że nie możemy uzyskać tego stopnia pewności, jakim cieszyły się np. kraje skandynawskie, zanim i do nich zawitała wojna. Tym bardziej uzasadnione są nasze minimalne postulaty: likwidacja złośliwej enklawy Prus Wschodnich, oparcie granicy o Odrę z niezbędnymi przyczółkami. Nie będziemy się wcale martwić, że nasz handel z Rzeszą będzie się wskutek tego odbywał na krótszej niż dotąd linii granicznej.

Michał Ciołek.

M E D A U A R

Z czasem nazwy, które w życiu wojennym bywały tylko symbolami orientacyjnymi, urastać będą do symbolów legendy. Takim symbolem dla Tobruku jest i będzie nazwa: Medaur. Jest to właściwe pole chwały wojska polskiego. O Medaurze mówiły wszystkie oddziały brytyjskie przyciszonym głosem. Odchodzący na Medaur wiedzieli z góry, że wszyscy nie wrócą. Wiedzie-

li, że nadchodzi okres, który wspominać się będzie jak zmore senną. Na Medaurze siedziało się, a raczej leżało, dni siedem do czternastu.

Polacy wytrwali tam 71 dni. Tobruk jest świetną twierdzą. Pierścień obronny jest kunsztownym połączeniem naturalnych punktów obrony z świetnie zbudowanymi fortami betonowymi. Każdy pocisk artyleryjski i każda bomba jest

dla takiego betonu śmiechem, choć co-
prawda Brytyjczycy nadryżężyli Włochom w ubiegłej ofensywie i te schrony bombami. Tajemnica włoskiej kapitulacji Tobruku i brytyjsko-polskiej wytrzymałości polega na tym, że Włosi w czasie natarć kryli się pod cementem schronów, podczas gdy Anglicy i Polacy nazewnątrz prowadzili obronę.

Naturalnie forty betonowe nie wyczerpują całości systemu obronnego twierdzy. Większość punktów obronnych zbudowana jest w ziemi. Wiele jednak fortów wbudowanych jest w skały, na wzgórzach, szkarpach, na brzegach "wadi" wąwozów, wśród fantastycznych urwisk kamiennych. To wszystko jest odrutowane, okopane minami, otoczone rowami, najeżone pułapkami i wszelką bronią. A z tyłu są odwody, artyleria, czołgi ... Jeżeli jednak człowiek niema woli przetrwania, upaść może łatwo w chwilach, gdy górami i betonami trzęsą furie najwymyślniejszych pocisków.

Medauar był najczulszym odcinkiem pierścienia obrony. Jest to wzgórze ufortyfikowane, dominujące nad twierdzą. Ze strasznymi stratami wydarły ten odcinek Brytyjczykom pancerne kolony niemieckie. Ale wola obrońców zaparła się. I choć na wzgórzu w betonach siedzieli Niemcy, i podciągnęli setki morderczych broni, u stóp wzgórza, w jednym miejscu w odległości zaledwie 150 metrów, a przeciętnie 300 metrów, w naprędce kopanych rowach trwali Australijczycy, potem Polacy.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by sobie odtworzyć grozę i niewygodę takiego położenia. Całe doby leżeć trzeba w ciasnych, brudnych oczywiście, stanowiskach, bez ruchu. Najmniejsze wychylenie się groziło śmiercią. I śmierć zebrała tu swoje żniwo. Polak z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, który wrócił do rodzimej formacji wojskowej, oddał pewnej nocy serię z ckm. nie zasłoniwszy wylotu lufy. Natychmiast padł, mając 16 pocisków "Spandau" w głowie i na dobytek rozartykany przez pocisk mózdzierz. Było podobnych wypadków więcej. Ale w sumie Czerwony Krzyż pojawiał się na pozycjach n-pla

W tych warunkach konieczna była ustawiczna czujność, zwłaszcza w nocy. Sen to był, jakiś luksus, wypadek znany z opowiadań. A przez całą dobę lały się z naprzeciwnika strumienie pocisków broni maszynowej, szczekały pe-
kające Bredy, rwały się głucho móżdzierze i wyły wszelkie kalibry armatnie. Były też i szrapnele. Cały teren usiany był tonami odłamków i mi-

sternie pogiętymi "niowypałami"; osmalony, żółty, czerwony, czarny, brązowy. Zwłaszcza w wąwozach zbierać można wagony niewypałów.

Na pozycjach mieszały się ze sobą groby, kuchnie, i latryny. Niejeden spał na trupie ledwie przyrzuconym ziemią.

Pod osłoną nocy obie strony wychodziły minować przedpole. Pracowały tak od siebie, widząc się nawzajem, o 100 metrów, czasem bliżej. Tylko od czasu do czasu ktoś wylatywał w powietrze od własnej miny. Jęk, auto i znowu gorączkowa praca.

- Nagle - ostrzegawcze salwy kolorowych pocisków idą w górę. Wszyscy biegają pędem ku pozycjom. Zaczyna się regularna nocna strzelanina, nużąca śmiertelnie, pełna straszliwej nieperwności. Kolorowe rakiety płoną bez przerwy to tu, to tam.

I teraz wśród ognia wychodzi żywy człowiek. Pełza, czujny na ognie, ruchy i głosy ku pozycjom nieprzyjacielskim. Idzie na podsłuch, na patrol drutowy, lub z zadaniem specjalnym - najczęściej zbadać typ min, dziś położonych. Ma jedną przyniesić. A gdy go odkryją ... W Tobruku nie żałowało się amunicji po obu stronach. Do jednego człowieka strzelało się i 50 pociskami ppanc.

Niemcy nie przebierają w środkach walki. Trupów własnych i przeciwników nie zakopywali. Wojna totalna wymaga użycia nawet i trupów. Zatem Niemcy minowali trupy, wiążąc do ich rąk, nóg i leżącej obok broni wymyślne miny. Kto ruszał trupa, kładł się obok niego na zawsze. Na Medauarze takich zaminowanych nieboszczyków było najwięcej.

Ale jakoś żyli się Polacy z Medauarem. Urządzili się wcale wygodnie w schronach. Posklecali Bóg wie z czego łóżka. Wnet przyszła ochota do żartów. A więc wystawiało się manekiny i różne karykatury, do których wściekły ogień prowadził nieprzyjaciel: ten i ów bawił się w Zagłobę, rażąc językiem z ukrycia. Aby zaś strzelanie nocne nie było nudne, wygrywało się na broni różne melodie. Polacy wycinali krakowiaczki i polki, Niemcy odpowiadali walcami.

Można sobie wyobrazić radość polskiego żołnierza, gdy dnia 10 grudnia na fortach Medauaru załopotał sztandar biało-czerwony. Było to naprawdę wielkie zwycięstwo.

Jan Bielatowicz.

Kronika Tygodniowa

WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE.

KALENDARZYK.

15 niedziela	- Zapustna - Faustyna.
16 poniedz.	- Julianny.
17 wtorek	- Ucieczka św. Rodziny do Egiptu.
18 środa	- Popielec, Symeona.
19 czwartek	- Konrada.
20 piątek	- Leona.
21 sobota	- Eleonory, Feliksa.

KALENDARZYK HISTORYCZNY.

16.II.1665	- Zgon Stef. Czarnieckiego.
17.II.1941	- Turecko-bułg.pakt nieagr.
18.II.1454	- Posłowie ziem pruskich proszą o przyłączenie Prus Wschodnich do Polsk.
19.II.1473	- Urodz. Mikołaja Kopernika.
20.II.1922	- Sejm Litwy Środk. przyłącza ziemię Wileńską do Polsk.

NABOŻENSTWO W SYNAGODZE ZA POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY.

W dniu 8 b.m. w Synagodze w Aleksandrii odbyło się uroczyste nabożeństwo za poległych żołnierzy polskich, odprawione przez naczeln. rabina W.P.S.W. kpt. Bromberga.

Na nabożeństwie obecny był Dca Ośrodka Zapasowego W.P.na Śr.wsch.gen. Kordjan Zamorski, w towarzystwie wyższych oficerów.

ODZNACZENI "KRZYŻAMI WALECZNYCH"

Rozkazy o nadaniu Krzyży Walecznych wyliczają długie szeregi oficerów i strzelców, którzy przyczynili się wybitnie do zadania ciężkich strat nieprzyjacielowi.

Jeden z nich strz.B.Franciszek po rzuceniu granatu wpadł na stanowiska nieprzyjacielskie, rzucił się na trzech przeciwników unieszkodliwiając jednego kolbą, a gdy dwaj pozostali uciekli i schowali się do ziemianki pobiegł w ich kierunku i rzucił do ziemianki granat.

Inny strz.E.Eugeniusz podbiegł do schronu nieprzyjacielskiego, rzucił trzy granaty włoskie unieszkodliwiając załogę - poczem otworzył ogień z pistoletu maszynowego do grupki uciekających żołnierzy.

Strz.T.Bernard i J.Leopold w czasie wypadu swej kompanii na pozycje nieprzyjaciela biorą wydatny udział w zadaniu strat. Stale ochotnicy na patrolach, w czasie których badali odważnie czy podejrzone obszary są zaminowane. Odnaleźli i rozbili dużą ilość min nieprzyjacielskich.

Strzelcy W.Alfons i D.Mirosław wpadli do ziemianki wroga gdzie w walce wręcz zadali duże straty jej załodze. Wykazali zimną krew i odwagę.

WYSTĘP CZOŁÓWKI TEATRALNEJ.

W dniu 1-go lutego br. Czołówka odwiedziła Ismailię, gdzie wystąpiła na koncercie, zorganizowanym przez grupę oficerów polskich dla oficerów angielskich oraz miejscowej kolonii angielskiej i francuskiej. Koncert, który spotkał się z wielkim aplauzem zebranych, odbył się w sali Klubu Francuskiego.

W dniu 3-go b.m. Czołówka wystąpiła w Ośrodku Zapasowym W.P.S.W. z rewią p.t. "Do góry kciuk". Oprócz stałego zespołu Czołówki w występie tym przyjęły gościnny udział: p.Maria Kijewska, oraz dwie członkinie ang.zespołu p. Barker Imogen i Lilian.

"JEDNODNIÓWKA LEGII OFICERSKIEJ".

W Administracji Sekcji O.i K. jest do nabycia wydawnictwo Legii Oficerskiej, jednodniówka, wydana w rocznicę powstania Legii. Na treść jednodniówki składa się oprócz okolicznościowych artykułów kilkadziesiąt zdjęć z życia legionistów.

Cena egz. 10 p.

PODZIĘKOWANIE.

P.płk.T., ks.kapel.P., ks.kapel.G. oraz kierownikowi chóru L.O.ppor.N. i wszystkim Kolegom, którzy przyczynili się do uświetnienia uroczystości mojego ślubu w dniu 8.II.1942 w kościele Św.Katarzyny, składam serdeczne żołnierskie podziękowanie. ppor.L.B.

POSZUKIWANIE.

Jan Wojtowicz poszukuje syna Zdzisława Wojtowicza, ur.3.V.1921, kadeta Korpusu Lwowskiego, który z Targu Jiu w styczniu 1940 r. wyjechał do Francji oraz Tadeusza Próchnickiego z Krosna który będąc w Sarvar na Węgrzech wyjechał 6.V.1940 ze Splitu do Francji.

FIXSKO kolonizacji niemieckiej

Tygodniowe przemówienie przed mikrofonem Polskiego Radia w Londynie min. prof. Stanisław Stroński poświęcił niepowodzeniom niemieckiej akcji osiedleńczej w Polsce.

Jak zwykle z początkiem nowego roku - mówił min. Stroński - Niemcy pragnęli się zaoczować i pocieszać jakimiś dobrymi widokami na jeszcze jeden rok coraz cięższej dla nich próby wojennej. Pociąga ich teraz czarodziejski wschód. Widocznie wszystko, co jest bliżej, jest tak beznadziejnie przesiąknięte niedostatkiem i niewiarą, że dla skołatanych umysłów pozostaje tylko ucieczka w coś bardziej odległego. Podobnie, jak urzędowy kierownik młodzieży hitlerowskiej, na Nowy Rok zwracając się do młodzieży niemieckiej, roztaczał przed nią mirażę czekających ją zadań i zysków na wschodzie, tak prezes niemieckiego Instytutu Badań Koniunktury Gospodarczej prof. Wagemann rzucił na Nowy Rok hasło wschodu, wołając: "Idź na wschód młodzieńcze".

Prawdopodobnie rodziny niemieckie, słuchając tego wezwania, myślały raczej o tych setkach tysięcy młodzieży niemieckiej, które poszły na wschód i teraz wracają już ze wschodu długimi pociągami rannych i chorych, cofając się krok po kroku, wśród gęstych zasp śniegu, na przestrzeniach, które stają się wielkimi cmentarzyskami młodzieży niemieckiej. Jest to tak jasne dla rodzin niemieckich, że gdy słyszą niewczesne nawoływania rozdartego profesora, aby młodzież szła na wschód, niechybnie myślą sobie: "A ty prezesie, idź do stu diabłów".

W rzeczywistości bowiem niezbyt wiadomo, kto w Niemczech ma iść na wschód. Liczba chętnych pomimo obietnic już się wyczerpała. Znamiennym jest oświadczenie kierownictwa partii narodowo-socjalistycznej w Poznaniu z 30 stycznia b.r. Według sprawozdania "Ostdeutscher Beobachter" stwierdza ono, że przesiedlanie ludności zostało już w zasadzie zakończone i dodaje do tego zwykle pogróżki w stronę Polaków. Dziś "Wartheland" - według oświadczeń niemieckich - przybrał znowu wygląd niemiecki. Polacy stanowią dla Niemców jedynie siłę roboczą. Mogą w tym charakterze żyć spokojnie, o ile służą Niemcom, gdyż niemieckie prawo życia jest prawem najwyższym. Ci, którzy nie byli posłuszni, zostali usunięci. Kto chce pracować ma zapewnioną przyszłość, jako

poddany, podlegający opiece niemieckiej. Niegodni tej opieki, sami przypiszą sobie następstwa.

Mniejsza o te obelgi i pogróżki. Siłę roboczą polską poznają najlepiej Niemcy w końcu wojny, gdy zacznie się dla naszej siły roboczej okres wymiatania śmieci. Ale najważniejszym jest to, że Niemcy zamykają okres przesiedlań i przyznają się do tego. Dlaczego to czynią? Poprostu dla tego, że nie mają kim już osiedlać zachodnich części Polski, a wysiedlenie ludności polskiej oznaczałoby zastój wszelkiej pracy na roli i w przemyśle.

Szumne hasła Greiserów, Forsterów, Brachtów, że nie pozostał na ziemiach wcielonych do Rzeszy ani jeden Polak, rozwiewają się wobec rzeczywistości. Teraz myślą, że ujarzmią i wynarodowią tę siłę roboczą polską, ale chłop polski i robotnik polski tylko splukają w ręce, które już go świerzbują do dobrej roboty w chwili, na którą czeka i której się doczeka.

Narazie ważne są jednak wyznania, że Niemcy nie mają kogo osiedlać. W tym świetle będą jasne wywody Ernesta Tilla, korespondenta jednego z pism niemieckich, który siedząc w Krakowie, opisuje swe spostrzeżenia. Zdaniem jego stworzono Gen. Gubernatorstwo, aby na zawsze utrzymać niemieckie kierownictwo nad tymi ziemiami. Do tego według p. Tilla - trzeba jednak, aby miasta nie były tylko wyspami, ale aby także wieś była wciągnięta jak najwydatniej w proces kolonizacyjny, a administracja niemiecka nie może pozostać tylko cienką powłoką zewnętrzną.

Gadu, gadu p. Till, a tymczasem partja narodowo-socjalistyczna przyznaje, że Niemcy nie mają już kim kolonizować Polski zachodniej, że słynny Drang nach Osten utyka wśród strasznych świadectw, że jest to odwieczny pochód zbrodni niemieckich.

"Wehrmacht" z 8 stycznia i "Illustrierter Beobachter" z 29 stycznia br. zamieszczają kilka zdjęć, które świadczą o tym, jak to lekarze niemieccy leczą ludność rosyjską, ale dziś nikt w to nie wierzy. Prawdę zna już cały świat. I to jest sedno rzeczy. O niemieckim pochodzie na wschód wie już dziś cały świat, że od Gerona, Krzyżaków, Prusaków, aż do Hitlera, był to pochód pogaństwa, zbrojstwa, złodziejstwa, tkwiącego w Niemcach, a wszelkie nowe pochody Niemców na wschód są pochodami grabieży, samowoli i śmierci.

"TRZECIA RZESZA SZUKA LUDZI"

(Tygodniowy przegląd wydarzeń).

Czołowe uderzenie japońskie na Singapur było głównym wydarzeniem ub. tygodnia. Krytyczne położenie, w jakim znalazła się twierdza brytyjska, która trzymała straż w jednym z najbardziej nuralgicznych punktów imperium brytyjskiego, na skrzyżowaniu dróg morskich do Indii i Australii oraz Chin i Indii Holenderskich, wywołała w opinii angielskiej żywy bardzo odzew i dyskusję. Mocarstwa anglosaskie są narazie niezdolne do podjęcia kontrofensywy na Pacyfiku. Byłoby odciążenie i rozbiór rozrzucone na olbrzymich obszarach oceanu, na wyspach i półwyspach tamtej półkuli, desanty japońskie, trzeba by rzucić do akcji olbrzymią flotę i potężne lotnictwo. Obie te siły nie są - zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych - gotowe na tyle, by można było wykorzystać ryzykowne i niebezpieczne skądinąd rozproszenie wojsk japońskich. Akcja sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie ograniczać się więc musi narazie do powstrzymania i opóźniania inicjatywy japońskiej, zanim przewrót, jaki dokonywać się w gospodarce amerykańskiej da oczekiwane wyniki w produkcji wojennej.

Na Daleki Wschód idą posiłki brytyjskie i amerykańskie. W opinii angielskiej zaznaczyły się wszakże dwa kierunki co do rozmiarów i znaczenia owej pomocy. Jedni domagają się obrony jak najenergiczniejszej posiadłości brytyjskich na Pacyfiku, kosztem nawet osłabienia innych frontów, drudzy głoszą tezę, że ważniejsze od obrony Singapur jest wspieranie Rosji sowieckiej w chwili, gdy Hitler przygotowuje nowe na nią uderzenie. Singapur czy Moskwa - oto dylemat dzisiejszej polityki angielskiej.

Na rzecz Moskwy opowiedział się zdecydowanie b. ambasador brytyjski w Rosji, Sir Stafford Cripps, który prowadzi w Anglii energiczną kampanię. W mówach swych nie wspomina prawie o Dalekim Wschodzie, dowodząc, że pierwszym warunkiem zniszczenia Japonii jest pokonanie Niemiec. Cripps skupia całą uwagę na Rosji i występuje przeciw tym politykom angielskim, którzy jego zdaniem, nie wyzbyli się nieufności w stosunku do Moskwy oraz Stalina i nadmiernie rzekomo dozuja pomoc, jaką Sowiety otrzymują z Anglii. Sir Stafford Cripps jest za pełnym porozumieniem z Rosją sowiecką, za uzgodnieniem z nią polityki na czasy po-

wojenne i pragnie dać Stalinowi możliwość odniesienia w tym roku decydującego zwycięstwa. Cripps sprzeciwia się tym poglądom, które dzielą obecne zmagania w Europie na dwie wojny: rosyjsko-niemiecką oraz pozostałych sprzymierzonych z Rzeszą. Opowiedzenie się wszakże za wspólną wojną i wspólną strategią ma ten punkt słaby, że Rosja nie prowadzi wojny z Japonią, co siłą rzeczy musi oddziaływać na poglądy Australijczyków i Nowo-Zelandczyków, bezpośrednio zagrożonych przez Japonię.

Narazie wojska sowieckie posuwają się nadal na froncie wschodnim. Marsz ten jednak jest stosunkowo powolny. Wobec tego, że na Ukrainie mrozy ustają za miesiąc, wyrażono w Londynie obawę, czy armia Timoszenki zdoła przed tym terminem dojść do Dniepru i stworzyć istotnie silną zapórę przed nowym uderzeniem Hitlera w kierunku Kaukazu.

Z punktu widzenia planów kaukaskich należy też patrzeć na ruchliwość generała Rommla w Libii. Wysiłek, jaki Niemcy tu czynią, ma z jednej strony na celu wciągnięcie sił sprzymierzonych na pustyni, a poza tym szachowanie tyłów ewentualnego frontu alianckiego, jaki mogłyby wytworzyć się na Kaukazie. Front w Libii, w chwili, gdy piszemy te słowa, uległ pewnej stabilizacji. Niemcy uzyskali cóprawda chwilowo przewagę w czołgach, ale sprzymierzeni zachowali przewagę w lotnictwie. Znowu jednak na czoło wysuwa się kwestia zaopatrzenia po jednej i po drugiej stronie. Wiąże się z tym skandal z przepuszczaniem posiłków dla Rommla przez tereny, podległe rządowi Vichy. Sprawa ta przybrała bardzo na ostrości. Rząd angielski oświadczył, że ma dowody o współdziałaniu militarnym Vichy z "osią". Stany Zjednoczone podjęły się wyświecić to zagadnienie. Skierowana do marsz. Petaina nota amerykańska stawia sprawę w ostrej bardzo formie.

Nacisk Berlina na Vichy, jak i na inne mniej lub więcej uzależnione od Rzeszy kraje europejskie, wzmógł się ostatnio ogromnie. Niemcy organizują nową wielką armię i nową ofensywę na Rosję. W zrozumieniu niemieckim ofensywa musi się udać, gdyż na następne tego rodzaju uderzenie nie starczyłoby Rzeszy sił a przede wszystkim paliwa.

Plany te jednak natrafiają na duże

trudności. Trzecia Rzesza zaczyna coraz poważniej odczuwać brak ludzi. By utrzymać w ryzach podbitą i wrogą Europę, prowadzić walkę na frontach, i zachować produkcję na stopie wojennej trzeba gigantycznych sił ludzkich, którym w dodatku możnaby zaufać. Tymczasem potencjał ludzki w Niemczech zaczyna wyczerpywać się. Najlepsze formacje szturmowe Trzeciej Rzeszy wyszczerbiły się i wyginęły w dwu i pół letnich już bojach. Podobno w nowej armii, jaka ma być rzucona na Rosję, będzie półtora do dwóch milionów wojsk pozaniemieckich. W Niemczech i we Włoszech posyła się kogo się da do szeregów. Mussolini kazał zmobilizować nawet zwolnionych od służby urzędników. Luki wszakże, jakie w związku z tym powstają, zwłaszcza w przemyśle trzeba kimś zapełnić. Nie pomogą tu jeńcy wojenni. Ściąga się więc do pracy na większą jeszcze skalę siły robocze z krajów podbitych i zwaszalizowanych.

Trzecia Rzesza szuka ludzi. Był więc Goering we Włoszech, by m.in. uzyskać dalszy kontyngent 300.000 robotników do Niemiec i nowe dywizje na front, byli Ribbentrop i Keitel w roli werbowników w Budapeszcie. Wywierany jest nacisk na Rumunię, która w końcu - mimo protestów generałów - zgodziła się na wysłanie dalszych 16 dywizyj na front pod warunkiem, że na podobną daninę mięsa armatniego zdobędą się Węgry i Bułgaria. Podczas bowiem, gdy Rumunia krwawi się, dwa te kraje, rywalizujące, jak wiadomo, stale z Bukaresztem zdołały, jak dotychczas dość umiejętnie oszczędzać krew swoich żołnierzy. Również Vichy ma dostarczyć robotników.

Na Rosję uderzy więc nie tyle armia niemiecka, co międzynarodowa i wielobarwna. Czy zapewni to większą jej siłę - przyszłość niedaleka okaże.

Podczas gdy obie strony przygotowują się do nowej fazy zmagania, w Egipcie, u którego granic toczy się walka o dużym znaczeniu strategicznym, nastąpiło wyjaśnienie sytuacji politycznej przez dojście do władzy największego w tym kraju, a odsuniętego od 5 lat od rządów stronnictwa Wafd. Ciekawy ten ruch polityczny, opierający się z jednej strony na chłopie, a z drugiej na młodej inteligencji, oddał już Egiptowi duże usługi przez wysunięcie szerokiego programu reform społecznych, a poza tym przez doprowadzenie do ugody z W. Brytanią, która uznała niepodległość Egiptu i związała się z nim paktem sojuszniczym. Dziś Wafd dochodzi do głosu w warunkach dość szczególnych. Powarzączyły temu faktowi dwie m.in. okoliczności: 1) stwierdzenie, że Anglia nie miesza się do spraw wewnętrznych Egiptu i 2) że nowy rząd przeciwstawi się "intrygom" antyangielskim i antyegipskim, które dążyły do złamania stosunków między Kairem a Londynem. Nowy premier podkreślił, że będzie wykonywał pakt z Anglią zarówno pod względem jego treści, jak i ducha. Interes bowiem W. Brytanii i Egiptu jest wspólny; walka z zaborczym imperializmem "osi", który dla niepodległości Egiptu byłby zabójczy. Choć rząd Nuhasa Paszy wywołał w pewnych kołach i warstwach egipskich konsternację, daje on gwarancję stabilizacji politycznej, która opierać się będzie na zaufaniu kraju. W Londynie powitano nowego premiera z zadowoleniem.

NOWY CIOS DLA NAUKI POLSKIEJ.

Radio londyńskie przyniosło z Warszawy wiadomość o zrodnie dwóch zasłużonych profesorów Szkoły Głównej Handlowej, Bolesława Miklaszewskiego i Antoniego Sujkowskiego. Obaj zmarli profesorowie piastowali w swoim czasie tekę ministrów Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Prof. Miklaszewski zajmował katedrę towaroznawstwa, był przez długi szereg lat rektorem S.G.H. i rozwój uczelni, a w szczególności budowa pięknego kom-

pleksu gmachów przy ul. Rakowieckiej, wiąza się nierozdzielnie z jego nazwiskiem. Prof. Sujkowski piastował katedrę geografii ekonomicznej. Jako pierwszy wicedyrektor Głównego Urzędu Statystycznego organizował zaraz po odzyskaniu niepodległości statystykę handlu zagranicznego. Był wielkim przyjacielem młodzieży, znał osobście każdego studenta i setkom dopomagał do znalezienia sposobów utrzymania się.

POLACY U KOLEBKI CYWILIZACJI

Kto z nas nie miał jeszcze szczęścia zrobić wycieczki do Gizeh albo Luksoru, niewątpliwie zapytywał się szczęśliwego kolegi, który stamtąd powracał, jakie na nim zrobiły wraże nie olbrzymie piramidy pod Kairem, czy potężne pozostałości po świątyniach w Luksorze, Tebach lub Karnaku. Każdy, kto myślał o tym, starał się uchwylić ducha, jakim tchną te kolosy z przed dziesiątków stuleci i tysiącoleci. Uderzał go rozmach i surowość tych tworów kamiennych, ale dopiero dokładniej przyglądając się postaciom wykutym w skale, lub płaskorzeźbom na ścianach świątyń i grobowców, przełamywał ten dystans, jaki wytworzył czas i wyczuwać zaczynał żywe tętno, którym pulsowało to zbiorowisko ludzi różnych ras i stanów, skupione w dolinie Nilu od najzamięrszchlejszych czasów historii ludzkości. Niejednemu imponowały te twory, ale i przygniatały go, aż poprzez wiadomości o wysiłkach, jakie doprowadziły do ich powstania, zrozumiał, iż są to wszystko zabytki życia podobnych nam śmiertelników. Zabytki życia tym szczególnie ciekawego, że niemal pod każdym względem przodującego ludzkości i torującego cywilizacji człowieka drogę do dalszego postępu, poprzez męki, krew, pot i cierpienia. Bo Egipt - to kolebka cywilizacji.

Między uczonymi trwał długo spór nie tylko o to, gdzie jest kolebka ludzkości, ale również i gdzie jest źródło ludzkiej cywilizacji. Walczyły ze sobą dwa główne poglądy: Jeden dopatrywał się początku cywilizacji gdzieś na Dalekim Wschodzie, w południowej lub środkowej części kontynentu azjatyckiego, stąd słynne powiedzenie "Lux ex Oriente" (Światło przyszło ze wschodu). Drugi dopatrywał się go nad Nilem, w Egipcie.

Ostatnio przeważało przekonanie, że cywilizacja, która zrodziła się nad Nilem jest najstarszą i że ona zapłodniła wszystkie inne późniejsze ośrodki kultury, więc zarówno Chaldeę, Indie i Chiny, jak i na drugim krańcu globu ziemskiego położone, znacznie młodsze, ośrodki kultur staroamerykańskich; Azteków, Majów i Inków.

Kontynentowi azjatyckiemu pozostał honor, że był przypuszczalną kolebką rasy ludzkiej, jeśli tego honoru nie odbierze mu się na rzecz jakiegoś mitycznego, później zatopionego kontynentu, na południe od Azji położonego, zw. Lemurią.

Zatrzymajmy teraz uwagę swoją na Egipcie. Jak mogło dojść do tego, że właśnie tutaj po raz pierwszy rozkwitła wynalazczość ludzka i podźwignęła biedny, dość bezbronny i koczowniczy byt ludności o bardzo pierwotnej organizacji na wyższy poziom, który już we wczesnym okresie doprowadził do powstania wielkich dzieł, których zabytki oglądać mogli uczestnicy wycieczek do Gizeh, Sakkary, Memfis, Teb, Luksoru lub Assuanu? Żetu właśnie jest kolebka nie tylko rolnictwa, metalurgii, architektury, budowy okrętów, ale również i tkactwa, wyrobu napojów wyskokowych, ustanowienia monarchii i ustroju państwowego, rytuału religijnego i sztuki, wogóle wyższej kultury? Oto jak tłumaczy to zjawisko wybitny brytyjski etnolog i badacz starożytnych kultur Sir Elliot Smith, rzecznik przyznania starożytnemu Egiptowi palmy pierwszeństwa cywilizacyjnego w świecie.

Człowiek pierwotny nie myślał o jutrze, żył jako zbieracz korzonków, jagód, jaj, krabów, ryb i zwierzyny dorywczo upolowanej. Cywilizacja zaczęła się od chwili, gdy stał się wytwórcą swej żywności, jako rolnik i hodowca bydła, gdy zaczął budować dla siebie domy i wyrabiać odzież, nie tylko prymitywną broń. Gdy nie tylko rozwinął w sobie zręczność w tropieniu zwierząt i w rozumieniu postępowania swych towarzyszy, ale również i twórczą wynalazczość. Jak ceną i jak niezwykłą było to rzeczą, świadczy o tym fakt, że według legendy pierwszym królem był właśnie ten władca, który odkrył sposób uprawy roli i że ten król - inżynier stał się pierwszym wcieleniem boskim na ziemi.

Postęp cywilizacji mógł się odbyć tam, gdzie sprzyjały warunki. Sir Elliot Smith przypisuje szczególną wagę okoliczności, że nad brzegami Nilu rósł obficie dziki jęczmień. Ludność najpierw nauczyła się cenić jego ziarno, z czasem zorientowała się w pożytku, jaki można mieć, będąc dostatecznie zaopatrzoną w gotową żywność. Było to ok. 4 tys. lat przed Narodzeniem Chrystusa. Dzięki temu odkryciu, ludność porzuciła koczowniczy tryb życia, zamieniając go na osiadły. Obfitość jęczmienia nie jest jedyną przyczyną tego faktu, epokowego w dziejach ludzkości. Inną sprzyjającą okolicznością była obecność w pobliżu kamienia, drzewa i me-

talą, niezbędne do rozwoju rzemiosł, wywołanego przez rozwój uprawy roli. Ta uprawa musiała być coraz staranniejsza, intensywniejsza, - w miarę szybkiego rozmnażania się mieszkańców tych płodnych okolic. Wiele przemawia za tym, że jęczmień w stanie dzikim Egipcjanie z t.zw. epoki przed dynastycznej znaleźli na miejscu; a że się nim obficie karmili, o tym świadczą ilości tego ziarna, jakie zachowały się do dziś dnia w żołądkach nieboszczyków, odgrzebanych obecnie wśród wykopalisk z najdawniejszych epok.

Kraj otoczony zewsząd pustyniami zapewniał ludności stosunkowo spokojny rozwój. Ten przykilej spokoju także odegrał swą rolę. Klimat był poprostu rajski, - jak się o tym każdy do dziś dnia może sam w dolinie Nilu przekonać. Oprócz jęczmienia rosły się tu również inne pożyteczne rośliny, jak psó i orzeszki ziemne. Nie brakło zwierzyny, takiej jak gazelle, barany i pewne odmiany bydła, co już wówczas umożliwiała ludności objadanie się ulubionym przez nas wszystkim "beefem". Nie brakło też ptactwa wszelakiego, jak dzikie gęsi, kaczki i przepiórki. W Nilu roiło się nie tylko od krokodylów ale i od ryb. W tym Nilu, który był naturalnym i wygodnym środkiem komunikacyjnym, tworzącym niemiłą więź między poszczególnymi osiedlami, rozrzuconymi nad jego brzegami, a potem prowadzącym do ujednoczenia ich warunków życia i form społecznych. Właśnie tu na Nilu bierze początek pierwsza większa flota, która odważnie zapuszczała się na wody Morza Śródziemnego, utrzymując przede wszystkim komunikację z Syrią.

Znając powszechną wśród ludów pierwotnych lekkomyślność i niedbałość o jutro, trzeba przyjąć, że musiał jeśszcze istnieć jakiś czynnik, który skłonił ludność bogatą zaopatrzonego w żywność kraju do czynienia zapasów, aby ustrzec ją od śmierci głodowej w okresach t.zw. "7 krów chudych". Czynnikiem tym były periodyczne powtarzające się okresy wylewu Nilu, dzielące rok na okresy tłuste i chude. Przeżycie kilku okresów wybitnie chudych, - wobec których niezym są obecne dni bezmięsne w Egipcie - nauczyły ludzi przezorności i czynienia zapasów w okresach obfitości. To też przyczyniło się zapewne do wykrycia metod mierzenia czasu między jednym wylewem, i drugim i do stworzenia pierwszego kalendarza w dziejach świata.

Dokładnie, - trzeba to szczerze wyznaczyć - nauka nie wie jeszcze, jak człowiek nauczył się robić zapasy. Wiado-

mo jednak, że składał nie tylko ziarno, aby potem zacząć jego uprawę, ale również szybko nauczył się suszenia, solenia mięsa i ryb, a potem wędzenia i peklowania.

Każdy z tych wynalazków pociągał za sobą inne. Tak więc gromadzenie ziarna doprowadziło do wynalezienia garniarstwa i budownictwa śpichrzów, z których znów powstały mieszkalne domy.

Domy jednak najpierw dla umarłych. Architektura bowiem wywodzi się z wznieszonej nad grobami nadbudowy, która stanowiła rodzaj świątyni i pierwotnej kaplicy. Wynalezienie potrzebnych do gromadzenia żywności koszy doprowadziło stopniowo do wyrobów mat i wreszcie tkanin. Resztki tego wszytkiego znalezione w najwcześniejszych cmentarzach egipskich. Nie brakło tam i szkieletów oswojonych psów i różnego rodzaju ozdobnych paciorków.

Nauczono się też szybko wyrabiać z jęczmienia piwo, prototyp napojów wyskokowych, uważanych za napoje boskie, t.j. przedłużające życie, gdyż będące esencją świętego jęczmienia, utożsamianego z ciałem boga Ozyrysa. Do tych świętych napoi należy również wino; kawa, miód do picia czy mityczna ambrozja. Wszystkie one niezawodnie szkodziły i wówczas każdemu, który ich nadużywał.

Osiadły tryb życia przyczynił się również do oswojenia bydła rogatego i karmienia, zwłaszcza dzieci, krowim mlekiem. Sprawilo to tak wielkie wrażenie na pierwotnych Egipcjanach, że również krowę zaczęli uważać za święte zwierzę, oddając jej część boską, jako Matce-Żywicielce, utożsamianej z Wielką Matką - boginią płodności i źródłem wszechżycia ludzkiego. Wyobrażenie tej boskiej krowy zaopatrzone jest w tarczę księżycową, symbol ciała niebieskiego rządzącego również według ówczesnych wierzeń życiodajnymi funkcjami kobiety. Doprowadziło to do utożsamienia wreszcie świętej krowy, uosobionej w postaci bogini Hathor z niebem, po którym krąży księżyc.

Sprawa rozwoju wierzeń religijnych u starożytnych Egipcjan jest tak interesująca, że zasługuje na osobne omówienie. Wystarczy obecnie wspomnieć, że kult krowy przyczynił się do utrwalenia się specjalnego ustroju społecznego, zwanego totemizmem, wywodzącego szereg stosunków społecznych z pokrewieństwa z opiekuńczymi nad rodem ludzkim zwierzętami i wprowadzającego na tym tle liczne zakazy, dotyczące zwłaszcza związków małżeńskich.

Szczególnego znaczenia nabrała oso-

ba, której przypisywano odkrycie rolnictwa, czyli kunsztu uprawy roli. Pewne zwyczaje, polegające na rozpoczynaniu robót polnych przez króla, wskazują, że stąd wywodzi się władza królewska, uważana za źródło życia i pomyślność całego ludu. Stąd też powstały dwie troski w społeczeństwach ówczesnych, mianowicie 1) o zapewnienie trwania siły magicznej króla, która jak przypuszczano z wiekiem słabła i dlatego króla w najwcześniejszym okresie dziejów Egiptu zabijano, gdy tylko zaczynał się starzeć, zastępując go młodszym następcą. Równocześnie 2) troszczono się o zachowanie ciągłości tej siły, co można było osiągnąć według tych wierzeń jedynie przez ceremonie zapewniające mu życie wieczne, oraz odziedziczenie władzy królewskiej przez następcę. Ta ofiara krwi królewskiej miała swe źródło w wyobrażeniach, jakie łączono z krwawymi w kolorze wylewami Nilu, od których zależał dobrobyt całej ludności. Nie zaniebawano przy tym starań o należyte rozprzestrzenienie tych sił życiodajnych, usymbolizowanych w krwi królewskiej, a w rzeczywistości będących żywnym szlaczem wylewów nilowych, które odpowiednio rozdzielano przy pomocy coraz to wymyślniejszego systemu kanałów nawadniających.

Tak na początku cywilizacji wierzenia i wynalazki były zaledwie tylko czemś nieco więcej od teorii i praktyki asekuracji życia, która zmierzała do zabezpieczenia źródeł wszelkich pomyślności, za jakie uważano króla. Krew stała się symbolem, jeśli nie wręcz eliksirem życia, ratującym przed zagładą śmierci. Stąd też znaczenie przypisywane barwnikom żółto-krwistym jak np. ochra i metalom, jak złoto, czy miedź, którymi malowano i zdobiono zwłaszcza ciała nieboszczyków.

Magiczny użytek, jaki czyniono z zielonego malachitu, który sproszkowany i rozpuszczony w oślinie, symbolizował eliksir życia, życiodajną wodę Nilu, z jego szlaczem, - dał przez przypadek - jak przypuszczają - początek całej przyszłej metalurgii i zapoczątkował epokę narzędzi miedzianych, wyrabianych właśnie z metalu, który stanowi główny składnik malachitu.

Dokoła troski o zachowanie źródła życiodajnej siły, za jaki uważano króla i o zapewnienie ciągłości jej działania, powstał skomplikowany ceremoniał, czy rytuał pogrzebowy, którego

istotą było zachowanie istnienia ciała, uważane za niezbędne do wiecznego bytu pośmiertnego, a nawet do rzekomego zmartwychwstania. Cel ten osiągnięto przez balsamowanie ciała króla, a potem innych możnowładców, aby zapewnić trwałość ich mumii. Uważano, że przez zamianę ciała rozkładającego się na nierozpadające się istocie przydawano cech nieśmiertelnych i boskich. Tak drogą mumifikowania pierwszego króla powstał pierwszy bóg w mitologii egipskiej, której niebo szybko się rozmnożyło. Naczelne miejsce zajął Ozyrys, o którym legenda mówi, że rozewiartowane jego ciało rozrzucone po całym kraju, zostało potem zebrane i złożone, przez co uzyskało byt wieczny.

Konsekwencje tych wierzeń dla rozwoju cywilizacji były nieobliczalne. Kult zmarłego króla sprawił, bez przesady rzecz można, - iż cmentarze egipskie, których najwyższym wykwitem są piramidy, stały się kolebką wszelakich sztuk i rzemiosł. Ceremonie bowiem, które miały na celu ponowne ożywienie mumii królewskiej lub jego wizerunku posagowego, - czynność którą tajemniczy kapłani mieli wykonywać w niedostępnych dla laików częściach świątyń - połączone były z mimicznym przedstawieniem jego życia, śmierci i zmartwychwstania.

Dało to początek nie tylko różnym postaciom nabożeństw religijnych, ale również takim sztukom jak dramat i taniec, muzyka i literatura.

Wieleż tajemniczych, a interesujących zjawisk kulturalnych, kryją w sobie dzieje i badania początków cywilizacyjnych Doliny Nilu! Bezmiary wydmy piaskowych, z którymi dotychczas Polacy mieli przede wszystkim sposobność się zapoznać, nie powinny zakrywać przed oczyma tych bogactw, które z pod tegoż piasku i pyłu zapomnienia wyciąga na światło dzienne wiedza nowoczesna o Egipcie, która jest równocześnie wiedzą o źródłach cywilizacji całej ludzkości.

Patrząc dziś na obramowaną zielenią wstęgą Nilu, czy na otaczające piaski, na ubogie i pierwotne wioski czy na zamożne, zeuropeizowane dzielnice wielkich miast, nie zapominałoby, że dziwne zrzędzenie losu przyniosło nas do kraju, który był kolebką cywilizacji świata.

On.

Filmy obozowe

Od jakiegoś czasu wiele się zmieniło. Na czarnej drodze wiodącej do obozu widać już nie tylko dostojnych strzelców w "pewnym wieku", lecz również grupki młodych, roześmianych, często nawet rozkrzyczanych żołnierzy. To ci "z pustyni", "ci z akcji", "ci z Tobruku", "ci z frontu" - śmiałe chłopaki, pewne siebie, opalone, buńczuczne - ho!

Co niedzielę o 5-tej w kawiarni X "somewhere in Alexandria" przy stoliku nakrytym pomarańczową ceratą zasiadali pan "mecenas", "profesor", "radca" i "inspektor" przy czarnej kawie. Skrzypek i pianista grali smętne walczyki, a dwóch arabskich kelnerów podierało ścianę oczekując w permanencji na bakszysz.

Panowie w battledressach palili, wolno cedząc turecką kawę.

- No i cóż pan sądzi, "mecenasiu"?

- Wątpię, czy w tym roku będzie koniec. Produkcja, rozumie pan "prezes" - produkcja wymaga czasu ...

"Profesor" uśmiechnął się melancholijnie.

- Produkcja - wycodził wolno.

- To tak jak w roku 1918 - utracił się pan "inspektor".

Nikt nie podjął wątku rozmowy.

Gdy tracali - wieczór był taki jak zazwyczaj. Nad bliskim morzem unosiła się mgła. Z wylotów ulic wypadał wiatr wilgotny o słonym, rybnym zapachu. Na horyzoncie rdzawe, potargane chmury świeciły się zorzą. Noc nadpływała z nad morza - czarna i wietrzna.

W namiocie (pierwszy dostrzegł ów fakt p. "radca") dziękują się cuda. W ich namiocie najcichszym i najdalejszym - pod trzema palmami daleko za czarną drogą.

Przyśpieszyli kroku. Niemal równocześnie stanęli w wejściu.

- Wchodzić kolejno, nie pchać się! - padł skądś energiczny głos.

Uszczelniono drzwi. W namiocie było pełno, rojno, gwaro jak w ulu. W bladym pełgającym świetle kilku świec wypływały z kątów namiotu młode twarze, przeważnie niezmiernie zu-

chowate, ogorzałe i roześmiane.

- Cóż to za inkwizycja? - mruknął pan "prezes". Nastąpiła ogólna prezentacja.

- Ach to panowie z pustyni - z Tobruku - może z pod Gazali?

Kilkoma nerwowymi seriami posypały się pytania. Nowoprzybyli odpowiedzieli natychmiast na to natarcie. Krótkie epizody, nazwy dziwaczne znane dotąd tylko z komunikatów - zadźwięczały żywo, nabrały rumieńców, życia i przestrzeni.

Kotłowało się w "najcichszym" do wczoraj z namiotów. Pan "prezes" cały zamienił się w słuch, "inspektor" nie mówił już ciągle, że to tak jak w 1918 roku, "radca" szeroko otworzył usta i słuchali, słuchali, słuchali ...

- Ach panowie - roześmiał się młody ułan - to wszystko jest wspaniałe. Pomyślcie - to przecież jest bajką! - my tu w Egipcie, a wczoraj w pustyni, a jutro ... ho, ho, zobaczymy jeszcze nie jedno.

- Czy to nie, jak w powieści, którą przeżywamy na jawie - wtracił się artylerzysta. - Wyobraźcie sobie, że tu w Aleksandrii jakiś Arab powiedział do mnie "efendi". Efendi ... to tak jak z Karola Maya, to cudowne! Czy marzyliśmy kiedy w Siedlcach o takich przeżyciach?

Dopałają się świece. Cichło w namiocie.

"Prezes" zdejmując buty - westchnął głęboko i potworzył cicho do siebie:

- "Jak w bajce ..."

A obok pan "radca" gasząc ostatniego papierosa szepnął w zamyśleniu

- "Efendi..."

I wszyscy poczuli gorącą sympatię do tych młodych, którzy posnęli w półzdrania, z niedopowiedzianymi słowami na ustach.

Tak oto w ten wieczór i nad nimi nachyliła się romantyczna pani "polska wielka przygoda" w której kocha się na zabój każdy nasz żołnierz.

..... Wiatr szarpał płótnami namiotu. Górą płynął księżyc, a kity trzech palm szeptały monotonna melodię pustyni.

Mr.

HUMOR

HUMOR WŁOSKI

Na ulicy w Mediolanie spotyka się dwóch przemysłowców włoskich.

- Jak idą interesy - zapytuje jeden drugiego.

- O, dużo, dużo lepiej.

- Jąko dużo lepiej - dziwi się drugi przemysłowiec.

- Naprawdę dużo lepiej, a nawet o wiele lepiej, niż ... w przyszłym roku, - wyjaśnił rozmówca.

("Le Progres Egyptien")

Z HUMORU EGIPSKIEGO

Po ostatniej zmianie rządu szauiszy egipscy (policjanci) znaleźli się w kłopotach, - zapewne w związku z posiadaniem poprzednio instrukcjami. To też nie chcąc popełnić pomyłki jeden z policjantów zadzwonił do swego naczelnika, zwracając się z następującym zapytaniem:

Czy ci, którzy krzyczą "Niech żyje Wafd", są z nami, czy przeciwko nam?

("Al Isnein")

Z HUMORU AMERYKAŃSKIEGO

Dyrektor Zakładów Budowy Samolotów Douglasa oświadczył, że wizyta kobiety w fabryce kosztuje ok. 800 dolarów strat wyrządzonych przez roztargnienie, nieuwagę robotników, którzy wówczas odrywają się od pracy.

Wobec tego odmówiono gwiazdzie filmowej Suzan Hayward zezwolenia na odwiedzenie zakładów, zaznaczając przy tym, iż w tym szczególnym wypadku straty powstałe na skutek jej wizyty wyniosłyby co najmniej 2 tys. dolarów.

("Le Progres Egyptien")

NASZ HUMOR ŻOŁNIERSKI

- Przedstawianie musi być. Pan General będzie. Przecież trzeba pokazać co się robi...

- Tak jest, dany Hamleta, bo nam idzie wspaniale.

- Mnie jest wszystko jedno, niech będzie Hamlet, byle było wesoło!...

("Werinajs")

N O W A C H O R O B A

Do lekarza pułkowego zgłasza się strzelec "z cenzusem".

- Co wam dolega?

- Wszystko - panie doktorze!

- Ale co wam jest?

- Cholera mnie bierze!...

("Werinajs")

A W A N S !

Do pewnego szefa kompanii odznaczającego się wybitną tuszą, zwraca się kolega:

- Słuchaj Janek, gratuluje ci - zostałeś wezwany do Londynu.

- Do Londynu - ja? Po co?

- Jako zapora balonowa!

("Werinajs")

R C Z M O W A W N A M I O C I E

- Feluś, ja ci mówię, że jak wrócimy do Polski to będą nas nosili na rękach!

- Tylko nie bajtłuj i nie przesadzaj.

- Niech mnie drzwi motocykla ścisną, że po tym reumatyzmie - to nosić nas będą na rękach...

("Werinajs")

T R E Ś Ć

N U M E R U

Z POLSKI DO BRYGADY KARPACKEJ - Karol Piwnicki.

NIEMCY BOJA SIĘ SŁOWIAN- J. Kadra.

WALKI BRYGADY DO WYJŚCIU Z TOBRUKU- Por. M.

SKUTKI GOSPODARZE ZAGROŻENIA STRATEGICZNEGO - Michał Ciołek.

MEDAUAR - Jan Bielatowicz.

KRONIKA TYGODNIOWA WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM Wschodzie.

FIASKO KOLONIZACJI NIEMIECKIEJ.

"TRZECIA RZESZA SZUKA LUDZI"

(Tyg. przegląd wydarzeń).

NOWY CIOS DLA NAUKI POLSKIEJ.

POLACY U KOLEBKI CYWILIZACJI - On.

FILMY OBOZOWE - Mr.

HUMOR.

LINORYT NA STRONIE TYT.: "PTOLOMEUSZ

I KLEOPATRA" - wykonał E.

Matuszaczak.



**SPADOCHRONIARZE
POLSCY
w SZKOCJI**

